

## Wylęki Mariusza Appela. Krytyka markotna [M. Appel, *Kotochwile*, Nowa Ruda 2005]

Przypadkiem zaglądam do nieco już zleżącego numeru „Wysokich Obcasów” (nr 8 z 25 lutego b. r.) i widzę Duninowy felieton. Nie, żebym zaraz była radykalną feministką. Nie, żebym była feministką w ogóle czy w wersji *light*. Tak sobie całkiem nonszalanc-ko i bezinteresownie na literki Kingi Dunin zerkam, ze zdrowej i niewymuszonej ciekawości, szukając dla siebie ratunku, natchnienia i słów wyważonych, co by krzywdy komuś bezzasadnie nie zrobić. Znalazłam się bowiem w nie lada kłopotcie, próbując z siebie wykrzesać szczyptę entuzjazmu dla *Kotochwil*, drugiego po wydanych w 2004 roku [*kocich łbach*], tomiku Mariusza Appela (rocznik 74). Z jednej strony może i chciałoby się posłuchać podpatrzonej w tekście Kingi Dunin wskazówki, że „krytyka jest bardziej wiarygodna, jeśli zostanie okraszona łyżką pochwał”, lecz z drugiej – coś mnie odwodzi od pokusy pójścia drogą kłamną. Żeby wybrnąć z twarzą z tej aporii, wybiorę drogę pośrednią, to jest gombrowiczowską trajektorię lawirantki. Wyposażona w garniec dziegiu i chochlę, oddam się nie sądzeniu raczej, lecz opisywaniu własnych alergicznych reakcji i zaznaczaniu punktów, jak przypuszczam, spornych. Nie będę też ani przez chwilę sugerować się tutaj znajomymi głosami dobywającymi się zza warszawskiego węgła, vide Jakub Winiarski i tym podobne potwory kalekie, które Appela zdążyły już od A do Z opowiedzieć.

Najpierw niech będzie o tym, że, zaiste, ma autor naturę długodystansowca i rzetelnego kaskadera. *Kotochwil* udało mu się zapisać aż czterdzieści. Czytelnika stawia się przed koniecznością błędzenia wśród tekstów w żaden sposób nieuporządkowanych, aczkolwiek z grubsza dających się podzielić na trzy grupy.

Pierwszą można by nazwać wspomnieniową, „wysnutą z pieleszy pieluszek”, jak ujęła to w *Postwoiu* do tomiku Joanna Mueller. Zajrzyjmy do środka. W otwierającym książeczkę *Biechowie* przenosi nas Appel w zapoznaną, mityczną przestrzeń wsi od 2003 roku nieistniejącej na mapie. W *Kolsku (czyli u drugiej babci)*, *Podwórku*, *Wierszyku szkolnym* i paru innych tekstach rysuje narracyjne pejzaże z czasów wiecowania w piaskownicy, latania na bosaka po polu, kiedy szczytem chłopięcych marzeń było przejechać się na starej jawie. Miłe, przyjemne dla oka są te obrazki, nie przeczę, ale nadto i zatrzważająco papierowe, chłopięce. Parafrazując Autora, całkiem on „zgrabnie wierszyczkuje przestrzeń szkolnego dziecińca”, aczkolwiek wdzięczniej, śmiem radzić, prezentowałby swoje klisze pamięci w zapisie od marginesu do marginesu. Bo też i słowa poniosły go w kierunku, którego po obiecujących debiutanckich [*kocich łbach*] nie przeczuwałam: ku ofensywnemu opisywaniu (opakowywaniu!) świata za pomocą okrągłych, rozgadanych zdań. Odszedł Appel od wcześniejszej migawkowości ujęcia, od wierszy ułamkowych, szybkich jak stop-klatki, jak dość ostre zbliżenia, bez retuszu i make-upu, ale dzięki temu świeżych i wzbudzących w czytelniku zaufanie. Zdaje się, że na przekór sympatycznemu, tytułowemu neologizmowi *Kotochwile* dublują się i dłużą niemilosiernie. Jeśli już zdołają czymś przez ułamek sekundy

zaskoczyć, a przynajmniej zatrzymać na sobie baczniejszą uwagę, za moment dla równowagi rozczarują, na przykład udawanym – lecz rzadko udanym – skradaniem się ku lingwizowaniu. Tak jak to ma miejsce w refleksyjnym wierszyku *Wspinam się na palce, żeby dojrzeć*, na wstępie ujmującym ciekawą metaforę:

„Wspomnienia podstępem utkwily w pamięci,  
podskórnie jak wenflony. Obrazy odżywają  
kropla po kropli, sączą się w pobliżu miejsc  
urodzenia. Okolic, gdzie żołnierzyki z plastiku  
mocą nadanego w szkole przywileju wiedzy  
uznawaliśmy za ołowiane. Teraz wydycham  
tamten czas (miedź czy być)”.

Ale po inicjalnych, apetycznych frazach we *Wspinam się...* nie sposób już znaleźć zgoda nic godnego uwagi, może poza rażącym w gąszczu podobnych do siebie słów opisem ulicy, „skąd dochodził **gwar – rozgardiasz gwardii** // rówieśników, grających pod oknami” [podkreślenie – J.W.]. Na tego rodzaju niespodzianki i tym podobne wydobywanie oczywistych asocjacji, pokrewieństw oraz fonicznych zbieżności między wyrazami, naraza Appel czytelnika z upodobaniem. Nawołuję z dobroci serca, by zaprzestał uprawiania owego grzesznego proceduru. Niestety, na analizę charakterystycznego dla *Kotochwil* poetyckiego języka, a zwłaszcza specyficznego, aleatorycznego zabarwienia czasowników, miejsca w swym słowie markotnym nie znajdę.

Przejdźmy do grupy drugiej, wzbudzającej we mnie bodaj największe zainteresowanie. Znalazłyby się w niej zaledwie trzy wierszyki: *Ratcatcher*, *La Joven* (z *Luisa Buñuela*) oraz *Ptaszek* (na podstawie C. Saury). I odnoszę wrażenie, że pod płaszczykiem zapamiętanych przez poetę filmowych historii łatwiej mu jest znaleźć dla siebie miejsce, efektownie odejść od biograficznego, nużącego w szczegółach redukcjonizmu, a przy okazji naiwnie i po bożemu zdziwić się światem. Appelowi zakładanie masek służy. Tak, tak; pod maskami wdzięczniej i „szerokokątniej” (proszę wybaczyć słowo nieudolne) mi się Appela ogląda. Kadrowane przez niego fotografie stają się wówczas kolorowe, z pożytkiem złamane tysiącem własnych linii.

W części trzeciej i najliczniejszej, (tym razem pozwolę sobie powtórzyć słówko za Appelem) „niezresetowanej”, wyjętej z terażniejszości, pojawiają się głównie dwa motywy, choć bywa, że i z wariacjami na temat. *Primo*, dominują czarno-białe, „offsetowe” pocztówki z ursynowskiego mieszkania („Teraz najlepiej // wychodzi siedzenie w domu: kulenie się połączone // ze skrywaniem uczuć pod płaszczykiem płaszczyzn”, *Tik*). Co zatem porabia bohater wierszy? Przeważnie układa – w towarzystwie kota – swoje „czerstwe ciało” na łóżku („Sofy nie sposób rozłożyć, więc muszę zmieścić swoje 175 // w poprzek, zatać się w wielu miejscach”, *Playback*), ogląda telewizję („Zabawę psuje telewizor sąsiadów. (...) Szczelne okna // i przenikliwe ściany, przez które przenika dym // z papierosów, które przepuszczają nawet dźwięki // spuszczonej wody”, *Blokada*), czasem – na zlew („Najbliższe są // odbicie w lustrze i wiara, że zmywanie naczyń oczyszcza”, *City*), na lampkę nocną („Żarówka w lampce skwierczy. Sygnalizuje // morsem i mruga jak latarnia morska”, *M*), z rzadka, ale ochoczo i z sukcesami, zerka również na kobietę (swoją drogą, to

jeden z bardziej oryginalnych wyimków ze zbiorku: „Kobieta, z przejściami dla pieszych wędrowek // mężczyzn, w koronkowej akcji (zsuwane stringi trącają // właściwe struny)”, *Przewidzenia*). Ulubiony obiekt obserwacji stanowi bezsprzecznie szyba okienna, w wierszach Appela stanowiąca swoisty fetysz. Za nią roztacza się lokalny osiedlowy krajobraz, „co roku taki sam”. Jak w wierszyku *Bungalow*: „W nawach drzew siedzą jak na stypie // skulone wrony, u podnóży śmietników // stepujące gołębie”; albo jak – pozwolę sobie na dłuższy, rozbrajająco naiwny fragmencik – w *Sobocie* (bez gorączki, bez nocy):

„Ptaki: czarne krzyżyki kołują po lotnisku  
nieba, kluczają zgodnie z rozkładem  
pory roku. Niewykluczone, że szukają  
swojego miejsca, a może tylko rozwijają skrzydła?  
Prawie **ocieram się** o ten widok,  
kiedy **przecieram zroszone szronem** okno” [podkreślenie – J.W.].

Na powyższym zimowym powidoku litościwie wylicznąkę zakończę, nie rozwijając tematu podwórzowego śmietnika, „śmieciarki firmy Bracia Strach” czy bezdomnego, spijającego śmietankę po przeprowadzce. Nie poważę się też na wspomnienie częstych relacji z aktualnego stanu pogody, licznych słońc (słońce „dźwignęło się ociężale // jak słoń, wpęzło na niebo. Promienie, mieniając się, pełgają”, *Gorod*), deszczy i śniegów; albo opresji i depresji przy muzyce De Press. Choć, doprawdy, nie sposób przeboleć podobnie irytujących przy lekturze natręctwa i monotonii w doborze tematów. A na dokładkę – umiłowania niezobowiązującego konkretnego. Jeśli ktoś gustuje, gorąco polecam, lecz dla mnie to banał, sztampa i „puszka utkana z pustaków” (Appela poezję konsekwentnie cytując).

*Secundo*, kilka uwag należy się zaliczającym się do tej samej grupy wierszykom podróznym. Ich bohater odbywa „okresowe wycieczki skrajnozawcze” w miejskich autobusach, „zaklajstrowany przy drzwiach” (*Rozbieg*), na stojąco, żeby nie narazić się starszkom z Centrum Onkologii („o twarzach jak skorupki dobrze wysuszonych włoskich orzechów, // z komórkami, zamiast okularów, w skórzanych etui”, *Lakmus*), żeby ze wzrokiem „profilaktycznie schowanym pod powieką” (!), ze ściśniętym ze strachu i „lekkiego niedobrze mi” gardłem popodglądać skradających się po chodnikach ludzi („Jadę // na gapę, wlepiam wzrok na zewnątrz, jakby był mandatem, // a nie przepustką do obojętności”, *Szare, bure*). I chciałoby się zakrzyknąć za Nietzschem z *Poza dobrem i złem*: „Fatalnie! Znowu ta sama historia!” Bo proponuje nam Autor bez umiaru repetycję pewnych doświadczeń, stałe, powtarzalne i typowe opisy, nieuchronnie powracające klęski. Znamy je doskonale z [*kocich łbów*], tam wszakże nie narzucały się z podobnie nużącą obcesowością. Rzecz jasna, bohater *Kotochwil* to nie *flâneur*, z rozkoszą wążący się po arteriach wielkiego miasta i biorący je we wzrokowe posiadanie. Przeciwnie; to ktoś, kto najlepiej czuje się w przestrzeniach peryferyjnych, kobiecych (!), prywatnych i niszowych, zapewniających bezpieczeństwo. Kto przypatruje się rzeczywistości z pozycji lęku i opresji, z całej siły broniąc się przed wpływem i otwarciem się na lokalne iluzje. I bardzo dobrze, i czytelnikom-introwertykom w to graj! Podejrzewam, że problem polega na czymś innym.

Joanna Mueller życzyła Appelowi, aby odważył się „odbezpieczyć”. Nie pójdę w nadziejach równie daleko. Podążę natomiast za Kierkegaardem, który pisał, że „Brak lęku

wynika z nieprzeciętnej bezduszości”, że lęk jest najlepszym przewodnikiem człowieka nowoczesnego. Ponowoczesnego, dodajmy za wyśmienitą książką Agaty Bielik-Robson *Duch powierzchni. Rewizja romantyczna i filozofia*. Niechby zatem nasz poeta ów lęk, to poczucie osaczającej duszności (nie przyłożyłabym tu etykiety melancholii!), którymi jego nieradosna twórczość jest podszyta, wykorzystał i docenił. Niechby przestał w swojej poezji uparcie przyjmować pozycję obronną, tak jakby w percypowanym świecie nie miał nic do zrobienia, nic do **zobaczenia**. Niechby – zamiast wyznaczać sobie granice, przykrawać horyzonty i wciskać się w klatki – co tylko się da, kluczem wrażliwości pootwierał na oścież i na kawałki porozkładał, wbrew eskapistycznym tendencjom, *volens nolens* całkiem adekwatnie zilustrowanym w wierszu *Podwórko*: „Obok garbiła się zamknięta // na drewniany skobel komórka. Nie miałem odwagi, // żeby sprawdzić, co ukrywa”. Bo gdyby tak wreszcie wślizgnąć się okiem do środka? Ech, pomarzyć... A jednak, różnica między patrzeniem a zobaczeniem jest równie wielka, jakbyśmy mieli do czynienia z dwoma nieprzystającymi do siebie rzeczywistościami, z dwoma miastami w mieście.

Jeśli uda się zaakceptować „wyleki”, dać upust własnym sympatiom i antypatiom na drodze rozróżniania rzeczy i stosunków między nimi, być może Appel znajdzie dla siebie drogę i przestanie jedynie nieporadnie odtwarzać i reprodukować. Może skończy udawać, że zatracą się w słowach. Może zamiast patrzeć w szybę okna, odkryje, że sam jest lustrem, powie sobie (a co tam!...), jak choćby Picasso: „Kiedy nie mam niebieskiego, kładę czerwony”, i wtedy zacznie pisać lepsze wiersze? Czego mu serdecznie życzę.



Justyna Kościelna rysunek nr 1